

Mirosław Skarżyński
Uniwersytet Jagielloński, Kraków
miroslaw.skarzynski@gmail.com

DR MARCIN PREYZNER 1945–2013



Marcin odszedł 29 lipca. Gdy przeczytałem sms z tą wiadomością, przypomniał mi się moment naszego poznania – rok 1977, jesień, długowłosego faceta w niebieskiej kurtce, przekonującego kogoś, nie pamiętam już kogo, o czymś, a może do czegoś. Tak zaczęła się nasza znajomość, potem przyjaźń.

Był wychowankiem Uniwersytetu Warszawskiego, uczniem Jana Tokarskiego, ale też często wspominał Adama Weinsberga, w którego seminariach przez wiele lat uczestniczył. Językoznawstwem zainteresował się, jak mi kiedyś powiedział, jeszcze w liceum, tak więc na polonistykę przyszedł już z jasno sprecyzowanym celem.

[...] Należał do grona członków warszawskiego koła językoznawczego, cały już na studiach pochłonięty sprawami naukowymi. Chodził na ćwiczenia z tego samego przedmiotu (np. opisówki i kultury języka) do dwóch różnych prowadzących, by więcej się nauczyć. Podobno kiedy matka dała mu pieniądze na garnitur, kupił za nie w antykwariacie słownik Doroszewskiego [...].

(Andrzej Markowski)¹

¹ Ten i inne cytaty biorę z wpisów do „Księgi pamiątkowej” w witrynie Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Jana Kochanowskiego w Kielcach, <http://www.ujk.edu.pl/ifp/forum/viewtopic.php?f=3&t=3>

Za sprawą J. Tokarskiego trafił do Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Kielcach. Z czasem uczelnia zmieniła się w Wyższą Szkołę Pedagogiczną, dalej w Akademię Świętokrzyską, wreszcie w Uniwersytet im. Jana Kochanowskiego, a Marcin uczył językoznawstwa kolejne generacje studentów. Ścisłej mówiąc: uczył myślenia o języku, rozumienia zjawisk językowych, ale także niewiary w stereotypy, w autorytety, oduczał zaś bezrefleksyjnego czytania. Oczywiście tych, którzy chcieli się jednego nauczyć, a drugiego oduczyć.

Miałem okazję kilkakrotnie być świadkiem, a do pewnego stopnia uczestnikiem jego zajęć. Kiedy poznaliśmy się, dzwonił czasem do mnie z zachętą w rodzaju: „Będę dziś mówił o..., może byś przylazł, to podyskutujemy”. Po zajęciach długo chodziliśmy po ulicach, bo to i owo trzeba było sobie wyjaśnić do końca (do tego „końca” i tak najczęściej nie dochodziliśmy).

Jeden z ostatnich studentów Marcina tak wspomina swego nauczyciela:

W coraz bardziej umasowiającym się chowie klatkowym szkolnictwa wyższego, hodowli magistrów Marcin był dla nas Mistrzem. Długo by opowiadać, jak zamieniał w wyzwania intelektualne to, co system nakazywał włączać rurą jak gęsi tuczonyj na stłuszczonej wątrobie. A mogłem na niego wcale nie trafić. [...] Marcin pokazał mi językoznawstwo żywe. U niego dopiero zobaczyłem fonetykę, która jest analizą żywej mowy, a nie mechaniczną transliteracją z alfabetu zwykłego na fonetyczny. Na seminarium u Marcina przeszliśmy szkołę *close readingu*, o którym inni tylko mówili. [...] U Marcina nigdy nie było ekskatedralności, zawsze dialog [...].

(Piotr Ołowiak)

Rzeczywiście – „ekskatedralność” była w wypadku Marcina czymś zupełnie niewyobrażalnym. Otwarty na ludzi, studentów, dla których nigdy nie żałował czasu, nieraz kosztem własnych spraw i rodziny, traktował z ogromną życzliwością i wyrozumiałością, widząc w nich partnerów do rozmów o języku. Wielu pomógł w ich trudniejszych momentach życiowych.

Nigdy nie podawał wiedzy gotowej, natomiast pokazywał, jak ona się staje, jak od materiału dochodzi się do uogólnienia. Ale zaraz też pokazywał, że właśnie to uogólnienie nie musi jedynym możliwym. Że można zbudować inną interpretację, jeśli wyjdzie się od innych założeń wstępnych. To rozbudzało ciekawość, wyrывało myślenie studenckie ze schematów podręcznikowych. Odwoływanie się do przykładów z innych, nieraz bardzo egzotycznych języków pozwalało zrozumieć względność kategorii, w jakich ujmujemy rzeczywistość. Analiza tych czy innych prac językoznawczych i słowników uczyła aktywnego i krytycznego podejścia do dzieł „uznanych i szacownych”. Marcin otwierał w ten sposób drzwi do nauki, pokazywał możliwości, rozumiejąc jednak, że nie wszyscy chcą/mogą z tego skorzystać. Dlatego ocena na egzaminie była odbiciem tego, co student umie, nie zaś tego, czego nie umie.

Nauka była jego życiem, a rozumiał ją jako coś, co wciąż się staje (wciąż się dzieje), gdzie nic „raz na zawsze” nie jest dane, a wobec tego nie może być dogmatów, niepodważalnych autorytetów ani argumentów z gatunku *iurare in verba magistri*. Ta postawa

w połączeniu z emocjonalnym sposobem dyskusowania niektórych zniechęcała do niego. Trzeba było znać Marcina, by wiedzieć, że nawet ostre w tonie wypowiedzi nie biorą się z braku szacunku dla przeciwnika w sporze naukowym, a tylko z temperamentu.

Ze wspomnianego wyżej rozumienia nauki brał się jego „rewizjonizm” w stosunku do tego, co czytał. A czytał wszystko: od językoznawstwa przez filozofię, fizykę, matematykę... do...? Granice trudno byłoby postawić, patrząc na jego mieszkanie będące faktycznie wciąż rozrastającą się biblioteką (w końcu podłogi służą nie tylko do chodzenia). Nieustająca eksploracja galaktyki tekstów była dla niego, jak myślę, i źródłem szczęścia, i nieszczęścia zarazem, wciąż bowiem pojawiające się nowe bodźce intelektualne umacniały go w przekonaniu, że na syntezę przemyśleń jest jeszcze za wcześnie, że co najwyżej na artykuł jakiś taki starczy, ale na książkę już nie, bo jeszcze przecież trzeba by..., warto by..., bo właśnie zobaczył jeszcze taką to a taką książkę, którą trzeba przeczytać. Zanurzony w naukę nie liczył czasu, nie dbał o formalne (zewnątrzne) jej oznaki, tzn. o stopnie naukowe, z podobną obojętnością traktował zresztą wiele tzw. życiowych spraw. Sporo czasu upłynęło, zanim dał się namówić, by przynajmniej część z ponad tysiąca stron swych szkiców wykorzystał do książki, która mogłaby stać się podstawą habilitacji.

W dojrzałych językoznawczych latach Marcin „żył w tekście”, a ja wiele godzin spędziłam nad tekstami do jego przyszłej habilitacji, którą chciał przeprowadzić na Wydziale Neofilologii UW, bo czuł się z nim związany przez wszystkie swoje językoznawcze lata. Dla mnie była to lektura fascynująca, prowokująca, ale i miejscami irytująca, łamiąca stereotypy habilitacyjnej rozprawy. Pełna pasji i oryginalnych pomysłów, ale i „myśli nieuczestnych”, jak to u Marcina. Staraliśmy się choć trochę te myśli przyczesać, ale jakoś się nie udało, bo Marcina nie można było wtłoczyć w utarte schematy.

(Bożenna Bojar)

Uspójnianie tekstu, bo taki tytuł dał Marcin swej książce, ukazało się w roku 2006. Nie wiem, czemu ostatecznie nie sformalizował przewodu habilitacyjnego – być może przyczyna leżała w tym, że uczelnia, której tyle lat i sił poświęcił, rozstała się z nim, gdy zdrowie zaczęło mu szwankować.

W *Wstępie do Uspójniania* napisał:

[...] Celem niniejszej pracy jest przedstawienie z jednej strony istnienia tekstu – i jest to tekst przedmiotowy – cytowany – i zaistnienie tekstu – i jest to tekst właśnie pisany. I tak by było, gdybyśmy myśleli po staremu. Jednak tekst istniejący to tekst powstający w odbiorze – właściwie nawet trudno mówić o odbiorze – bo pod wpływem bodźców-tekstu powstaje w odbiorcy suwerenny tekst, co prawda sterowany tekstem odbieranym – ale nie identyczny z nim, nie tożsamy.

Wszystko to dzieje się w tym tekście – ale dzieje się także w innych tekstach – we wszystkich tekstach akcji komunikacyjnej; tyle że w tym tekście nie jest to skrzętnie – jak w tamtych – ukrywane. Ta bezwstydna – jak po staremu by się powiedziało – ale szczerza twórczość tekstu – samoistna i osobista – choć standardowa – jest przekazem; autor chce

wciągnąć Czytelnika w świadomą twórczość tekstu – nie chce za niego tekstu porządkować wbrew niemu (dwuspójność). Właśnie dwuspójności, wielospójności tekstu są tu uświadamiane i eksponowane. Dlatego tekst nie dąży ani do jednoznaczności, ani do jasności – bo to byłyby fałszywe jego cechy i fałsz tworzące. Autorowi się nie wydaje, że coś wie, a tym bardziej, że coś wie lepiej niż inni; te cechy są wpisane w inne teksty – choć bynajmniej (już) nie wszystkie. Nowość tego tekstu ma polegać właśnie na demonstrowaniu niepewności, niewiadomości i nieokreśloności nie tylko przedmiotu, o którym się mówi – a może także raczej przedmiotu, o którym się mówi – lub raczej (należy powiedzieć) który się mówi, bo tylko z mówienia – tekstu składa się nasze myślenie (s. 8).

Książka istotnie jest „irytująca”. Zaskakuje czytelnika przyzwyczajonego do linearnego czytania swą formą – przestrzenną, trój- czy raczej wielowymiarową. Najlepszym dla niej sposobem wydania byłaby postać elektroniczna z mechanizmem hipertekstowym. Tego domaga się wielowątkowość tekstu, jego wielopiętrowość czy wielowarstwowość: teksty analizowane (różnych gatunków), teksty analizy/interpretacji; teksty analizujące/komentujące analizę.

Postawa autora jest wyraźnie antyscjentystyczna, chwilami ma się ochotę zarzucić mu wręcz jakiś rodzaj nihilizmu, zapytać, jaki sens ma zajmowanie się nauką (humanistyką, bo wobec tekstów nauk przyrodniczych jego postawa jest inna), skoro skazani jesteśmy na logo- czy tekstomachię, ta zaś jest nierozstrzygalna, a czytanie to budowanie tekstu własnego odbiorcy na tekście czytany, który zresztą jest własnym tekstem nadawcy, a wreszcie jak się oba te teksty mają do rzeczywistości? I tu następny kłopot: do której rzeczywistości? Do tej tekstowej czy tej „rzeczywistej” (fizycznej)? Siłą rzeczy pojawia się stary problem „czym jest prawda?” (w humanistyce). Wyróżniając w zakończeniu *cztery etapy rozwoju kompetencji komunikacyjnej*, pisze Marcin:

Na czwartym etapie [...] konsekwentnie rzeczywistość dla nas znika! Nie będziemy z nikim wchodzić w spór o to, co jest prawdą – zdajemy sobie sprawę z niemożności poznania prawdy, a w każdym razie z przekazania jej (różnice kodów między komunikantami) i uprawiamy grę tekstową.

Uspójnianie jest intelektualnie zapładniające, choćby dlatego, że jeśli pogodzimy się z konkluzją, to przyjdzie nam szukać możliwych sposobów prowadzenia owej gry tekstowej (a może raczej gier tekstowych). Jest też cenne metodologicznie, jako przykład precyzyjnej analizy/interpretacji tekstów stanowiących materiał badawczy i... tekstów będących analizą/interpretacją tych pierwszych. Inny aspekt to koncepcje filozoficzne, które leżą u podstaw poglądów Preyznera. Ewentualna dyskusja z książką powinna się rozegrać najpierw na tej właśnie, filozoficznej płaszczyźnie.

*

Radosną torturą (zamierzona kontradycja!) było czytanie pożyczanych od Marcina książek, te bowiem składały się z dwóch części: treści właściwej i tej dodanej przez niego – na marginesach. Uwagi, komentarze nie tylko uzupełniały i wzbogacały treść

właściwą, tworzyły też portret czytelnika – dyskutującego z autorem czytanej właśnie książki. A trzeba powiedzieć, że owe dyskusje na marginesach często prowadzone były z wielką pasją, co widać było z formy zapisków.

„Naukę robi się w dyskusji”. To najszlachetniejsze przekonanie było, jak przypuszczam, podstawą Marciniowego pomysłu – konferencji „Język – teoria – dydaktyka”, forum młodych (wówczas – rok 1976) językoznawców, tzn. (nieco umownie) generacji Marcina, Andrzeja Markowskiego, Marka Świdzińskiego, Krystyny Waszakowej, Elżbiety Sękowskiej, Ireneusza Bobrowskiego, Macieja Grochowskiego, Ryszarda Tokarskiego, Małgorzaty Marcjanik, Anny Pajdzińskiej, Marii Wojtak, Anny Tyrpy, Jerzego Sierociuka, Janusza Anusiewicza, Bogdana Walczaka, i wielu innych, których tu wymienić nie sposób.

W tamtych latach nie było takiej „inflacji konferencyjnej” jak obecnie, napędzanej punktacją (materiały z konferencji udające monografie), więc preyznerówki, bo tak nazwano coroczne spotkania odbywające się przez kilkanaście lat (pierwotni młodzi powoli przestawali być młodzi, ale pojawili się nowi), były ewenementem. Po każdej z nich wychodził skromny edytorsko (technika małej poligrafii) tom referatów, najpierw pod redakcją Jana Tokarskiego, potem Haliny Kurkowskiej, a jeszcze później Marcina.

W czasie jednej z przegadanych nocy konferencyjnych wpadł na pomysł zorganizowania konferencji gromadzącej młodych językoznawców, którzy wcześniej spotykali się na konferencjach językoznawczych kół naukowych. Tak powstały słynne w moim pokoleniu i w pokoleniu młodszym od mojego „preyznerówki”. Na których chodziło głównie o to, żeby dyskutować, dyskutować, dyskutować. I poznawać się – młodzi z różnych ośrodków do dziś są naukowymi przyjaciółmi. Nie trzeba nam wiele, by się porozumieć, bośmy się już zintegrowali na preyznerówkach.

(Andrzej Markowski)

Nie ma w tym wspomnieniu przesady – o to chodziło, by móc dyskutować w swoim gronie, co czyniono i na obradach, i po nich, na ogół do późnej nocy. To była świetna szkoła nie tylko ścierania się poglądów naukowych, ale też referowania, w której debiutant mógł liczyć na życzliwą i merytoryczną krytykę, bez obawy zlekceważenia. No i było to miejsce integracji młodych językoznawców z różnych ośrodków. Osobną zaś atrakcją to dyskoteki organizowane i prowadzone przez Marcina, zapewniającego sprzęt i nagrania. I tu przypomina mi się późna jesień 1981 r., kiedy marzliśmy, jadąc w śniegu z deszczem małym fiatem Janusza Wróblewskiego na preyznerówkę do Katowic. W tym cudzie techniki jaką taką swobodę miał tylko kierowca, tzn. Wróblewski. Obaj pasażerowie tkwili nieruchomo wśród sprzętu grającego i kaset z nagraniami, co do których Marcin uważał, że nigdy nie jest ich za dużo.

*

Tkwiąc mocno w środowisku językoznawczym, lubiany i ceniony przez wielu, przez niektórych nieznoszony wręcz jako dziwak i krytyk, szedł Marcin własną drogą

naukową, zachowując niezależność myślenia, czasem sporym kosztem. W tym szkicowym tylko wspomnieniu trudno pomieścić wszystko, co by się chciało napisać o Marcinie – *enfant terrible* polonistycznego środowiska ostatnich blisko 40 lat, któremu i ja, i wielu innych wiele zawdzięczamy. Skutecznie burzył błogi spokój i zmuszał do myślenia, do rewizji tego, co się umyśliło człowiekowi. Nie opisuję tu jego dorobku, składającego się z licznych artykułów, referatów, głosów w dyskusji, nie wspominam o wieloletniej działalności popularyzującej wiedzę o języku polskim. Subiektywizm szkicu próbuję neutralizować przytoczeniem opinii innych. I cytatem z tekstu Andrzeja Markowskiego zakończę:

Marcin był cudownym Człowiekiem. Wszystko, co robił, było pełne pasji i autentycznego, szczerego zainteresowania. Nieraz przez to bywał niezrozumiany. Sam wielokrotnie irytowałem się Jego wywodami, ale zawsze potem musiałem je przemyśleć. Był prowokatorem w kwestiach opisu języka, ale robił to po to, by dotrzeć do tego, jak naprawdę ten opis powinien wyglądać. Nigdy się chyba nie obrażał, nawet jeśli ktoś w dyskusji występował ostro przeciw niemu. [...]

Był ze mną na roku, znaliśmy się wtedy blisko. W wielu sprawach był prostolinijny, aż do łatwości. Nie przypuszczał, że ktoś może zrobić świństwo, że może mieć złe intencje.